

Wojciech Gołabowski

Rycerz bez-błądny.

Polska, rok 199_

Wszystko zaczęło się tego dnia, w którym odebraliśmy zaległe pieniądze od Krzywego Piotrusia. Chłopcy trochę popili, ja z nimi, no i głowy zrobiły się ciężkie. Spaliśmy tam, gdzie piliśmy - w chałupie Rudego. Sen miałem porąbany, ale to przecież normalne. Spróbuj sobie wyobrazić : byłem rycerzem! Pieprzonym, zakutym łbem noszącym na sobie pół tony żelastwa! Ale to jeszcze nic.

Nie, nie walczyłem ze smokiem; aż tyle nie wypilem. Znajdowałem się na jakimś wrzosowisku czy czymś takim. Trenowałem. Cięcie, blok, obrót, cięcie. Nawet nieźle mi to szło! Zawsze twierdziłem, że żelazo jest najlepsze do tych spraw - kastet skuteczniej uczy niż gumowa pałka. Ale nic. Robię więc cięcie - a tu nagle stoi przede mną mała dziewczynka. Ledwo ją ominąłem, tuż nad jej głową. Opieprzyłem ją jak należy i wygoniłem stamtąd. Wróciłem do treningu. Wyprowadziłem cios od dołu, z półobrotu i... znów omal jej nie zabiłem. Stała tuż za mną.

Ta sytuacja powtórzyła się kilka razy. Nawet nie udawała już, że odchodzi - po prostu znikła tu a pojawiała się gdzie indziej. W końcu się wkurzyłem - wycelowałem ostrze prosto w jej uśmiechniętą twarz. Ale wtedy... Cóż, jakby ci to powiedzieć, najnormalniej w świecie wyjęła mi miecz z ręki (a ciężki był jak cholera) i zaczęła mnie gonić. Nie śmieję się. Na początku nie uciekałem, ale po drugim jej uderzeniu

zrozumiałem, że to nie żarty. Chroniła mnie zbroja, ale jak długo? No, więc zacząłem biec - jeśli można to tak nazwać - a ta smarkula goniła mnie wywijając mieczem niczym gałązką.

Niedługo potem stanąłem zadyszany nad brzegiem jakiegoś pieprzonego urwiska. Nie było wyjścia. Odwróciłem się i ujrzałem lśniące ostrze w wyciągniętej ręce, szybko zmierzające ku mojej piersi. To była moja jedyna szansa. Usunąłem się z drogi ćwierćobrotem i wyrwałem miecz z jej ręki. A potem ja natarłem. Nie była ona taka bezbronna, nie! Znikała z oczu - i to dosłownie - ułamek sekundy przed ciosem, za to pojawiała się za mną i kopała mnie w dupę. Ciągłe uśmiechając się. Wkurzyła mnie.

W końcu udało mi się, stosując jakąś sztuczkę, przeciąć jej lewą rękę, powyżej łokcia. Stała nieruchomo i spojrzała na ranę. A potem na mnie. Wtedy poczułem piekący ból na MOIM ramieniu. Paliło jak cholera - do tej pory nie mogę uwierzyć, jak bardzo to było sugestywne (ramię boli do dziś). I faktycznie, mój pancerz był rozorany dokładnie w tym samym miejscu, co u tej małej suki. Na srebrzyste blachy spłynęła struga krwi. A dziewczynka, jak gdyby nigdy nic, sięgnęła do swej rany i - pomyśl tylko - oburącz rozwarła ją jak najszzerzej. Nie wiem, czy ona nic nie czuła, całkiem możliwe, że wszystko to przeszło na mnie. W każdym razie moje ciało eksplodowało bólem. Już tylko pragnąłem jednego. Jakoś dotoczyłem się na skraj urwiska i przechyliłem się nad jego krawędzią.

Oczywiście obudziłem się natychmiast. Na podłodze obok łóżka, na które się kładłem. Ramię nadal bolało, choć nie upadłem na nic twardego. Cholera wie, może krzywo leżałem. Była czwarta nad ranem, ale byłem trzeźwy i wyspany - sam wiesz, że nigdy nie piję za dużo - więc zebrałem się i

wróciłem do domu. Uśmiejesz się : ktoś właśnie próbował okraść mi mieszkanie! Palant, ale nie chciało mi się go zabijać. Nie o tej porze. Ha! Jestem ciekaw, czy w szpitalu nastavili mu już te wszystkie połamane gnaty. Naturalnie, jeśli go ktoś znalazł w tym lesie, gdzie go wywiozłem. Nie, nie wiem, kto to był. Jakiś gnojek. Zaklinał się, że robi na własną rękę, nawety wtedy, gdy wcisnąłem jego twarz w rozgrzebane mrowisko. To go trochę pouczyłem, że tak nie wolno, no i puściłem. A co? Mam go znaleźć i usunąć? Moja sprawa? Eee, dupek będzie milczał. Ze strachu.

Następnego dnia miałem inny sen. Inny, ale podobny. Nie denerwuj się, posłuchaj, sam ocenisz. Tym razem byłem w lesie. Bez złomu na sobie. Dziewczynka niestety też tam była. Tu cię mam, wrzasnąłem, czas na rewanż. Rzuciłem się na nią, żeby jej dać solidnego klapsa, ta jednak podniosła z ziemi jakiś kij. I dała mi nim po łapach. Chyba z kwadrans trwała ta przepychanka - ja ją chcę złapać, a ona mi kijem - aż się obudziłem. Ze zmęczenia.

Mówiłeś mi wtedy, że zaczynam popełniać błędy. Wiem, sam przyznaję. Ale pomyśl - przy takich koszmarnych nocach? Niemal bałem się zasypiać (otrzymywane we śnie razy bolały jak jasna cholera), a jednak, z drugiej strony... Zrozumiałem, że ta wredna mała suka stara się mnie czegoś nauczyć. I choć miałem dość takiego sposobu nauczania, to jego przedmiot stawał się dla mnie coraz bardziej pożądany.

Pamiętasz ten dzień, w którym poprosiłem cię o wolne? Zgodziłeś się na dzień następny, bo w tym była robota... Pamiętasz? To świetnie. Tej nocy sen przybrał inną formę. Dziewczynka postanowiła zrobić sobie kuku. Usiadła na trawie - wtedy zauważyłem, że poniżej kolan nie ma nóg, doprawdy, nie wiem, jak chodziła - i chwyciwszy nóż, wbiła

go sobie w brzuch. Przejechała poziomym cięciem po wnętrznościach i schyliła głowę. A ja stanąłem z jej boku i mieczem uderzyłem w jej kark. Głowa zawisła na strzępie skóry. Nazywają to harakiri, tak? Wyglądało okropnie. Tak też się czułem po obudzeniu. Dlatego prosiłem o ten dzień...

A następnej nocy sen się powtórzył. Tym razem na jej twarzy widać było cierpienie, bo nie schyliła głowy. Spojrzała na mnie. Oczekująco. Błagalnie. Hipnotyzująco.

Jak w transie wstałem z łóżka. Nie wiem skąd, ale nagle wiedziałem, co mam zrobić. Spokojnie wziąłem prysznic - a była trzecia w nocy! - ubrałem się i spakowałem. To znaczy kastet schowałem do kieszeni, a spluwę pod pachę. Nie brałem zapasowych magazynków; wiedziałem skądś, że to wystarczy. No i wziąłem też tłumik. Zapiąłem starannie marynarkę, poprawiłem krawat, chwyciłem za dyżurną teczkę i wyszedłem - ot, biznesmen średniej klasy. W pociągu nikt się mną nie zainteresował, ba, nawet bilet wykupiłem! Nie pamiętam tylko dokąd, jakoś mi to wyleciało z głowy... Dziwne... Ale pamiętasz, mówiłem, że byłem jak w transie. No więc po około trzech kwadransach jazdy wysiadłem z pociągu na jakimś zadupiu i poszedłem dalej leśną drogą. Niedługo potem stanąłem przed furtką ukrytego przed wścibskimi oczyma domu. Wyjąłem broń, przykręciłem tłumik, odbezpieczyłem ją i znowu schowałem, gotową do strzału. Wszedłem do środka.

Dom był ładny, starannie wykończony i umeblowany ze smakiem. Ale nie naszym, polskim. Nawet nie zachodnim ani amerykańskim. Najpierw pomyślałem, że mieszka tu jakiś psychik, ale nie, wszystko było... Hmm, zbyt dokładne. To był dom azjaty. Ta myśl uświadomiła mi, że ocknąłem się już z transu. Choć nie całkiem... Coś skierowało mnie na piętro, do

konkretnego pokoju. I tam go ujrzałem. Starszy gość o skośnych oczach. Siedział na macie, krzyżując przed sobą kikuty nóg. Spoglądał na mnie spokojnie. Oczekiwał mnie.

Cieszę się, że przyjechałeś. Wiesz, gdzie jesteś ?

Nie.

Niech i tak będzie.

Rozejrzałem się po pokoju. Duże okna wychodzące na wschód, gdzie powoli między drzewami zaczynało się przejaśniać. Na drugiej ścianie jakieś świece czy kadzidła, zdjęcie - musiał tam być ołtarzyk starego. A obok... Obok stała mała lalka. Maskotka z twarzą, którą znałem aż za dobrze z mych poobijanych nocy. Obróciłem się gwałtownie do azjaty - a ten uśmiechnął się pogodnie widząc, że już zrozumiałem. Spojrzałem w dół. Przed nim leżały dwa miecze samurajskie, krótszy i dłuższy.

Wiesz, do czego służą?

Wiem, nauczyłeś mnie.

Stań więc u mego boku i pomóż mi spełnić uroczyste seppuku. Spójrz. Słońce już wschodzi. To dobrze. Wrócę do kraju przodków.

Przecież to cholernie bolesne.

Ale konieczne.

Nie, wcale niekonieczne.

Wyjąłem zza pazuchy spluwę i wpakowałem mu kulkę w środek czoła. Fachowo. Nie zdążył zaprotestować. Myślę, że mu ułatwiłem sprawę. Szkoda mi było staruszka. Po co miał

się jeszcze męczyć... Schowałem broń, podniosłem miecze i spojrzałem na nie dokładniej. Piękna robota. Oryginały. Wsadziłem je ostrożnie do pochew, czy jak tam oni to nazywają i odłożyłem na miejsce. Nie mogłem ich przecież nieść w rękach, nie? Podniosłem też lalkę. Miała takie głębokie, hipnotyzujące spojrzenie...

Nie pamiętam, jak się dostałem do domu. Chyba także pociągiem, ale... Nic nie pamiętam. Głupia sprawa, ten dom jest wiele wart... Warto by go odnaleźć. A lalkę mam do dziś.

Ale do rzeczy, szefie. Po tym wszystkim przyszedł mi do głowy taki pomysł... Może by tak ściągnąć z Azji jakiegoś specjalistę? Założyło by się szkółkę walk wschodu, poduczyło by się naszych chłopaków, a potem zaczęło nawet, he, he, legalnie zarabiać... Wiem, że jest w cholere tego dziadostwa, ale nie myślę o walce wręcz. Raczej o szermierce. Nie, źle się wyraziłem. O walce na kije. Jest taki styl, nazywa się bodajże kendo. Ha! Można by nawet poszukać naszych polskich speców od szabli, szpady czy czegoś tam jeszcze. Ten miecz nie był taki zły... Wiem, że porządnej spluwy nic nie zastąpi, ale ma tę jedną zasadniczą wadę - trzeba ją nosić przy sobie... A jakiegoś badyla czy rurkę wszędzie się znajdzie. Raz mi się nawet śniło, że ta suka właśnie badylem rozbroiła mnie z gana. Mnie! Wiesz co, szefie, jeśli to jest możliwe... Może warto by w to zainwestować? Jak sądzisz?